

Maria Gładyszewska

Nazywam cię Irena



fot. Steve Johnson / Pexels

Był rok 1888. Teofila Chrudzimska niedawno urodziła. Niemowlę spało w kołysce zawinięte ciasno w pieluszkę, a troje starszych dzieci bawiło się w pokoju obok. Młoda mama popatrzyła na nie przez otwarte na oścież, dwuskrzydłowe drzwi. Dwóch synów i córka. „Chłopcom jest łatwiej” – pomyślała, kątem oka spoglądając na kołyskę. Rozważała wszystkie za i przeciw. Uważała się za rozsądną osobę. „To będzie dobre dla maleństwa” – dodała w myślach, oceniając skromniutkie wnętrza. Zachciało się jej, żeby to nowe stworzenie miało lepiej, bogaciej, bo Lucjan tak ciężko pracował i tak ubogo żyli. Marzyła o fortepianie, który został w domu rodzinnym. Bardzo lubiła grać. Jeszcze raz przypomniała sobie rozmowę z państwem K. Przyjechali kareta i zaproponowali, że wezmą małą na wychowanie. Dadzą jej wszystko jak córce, bo młoda pani nie mogła mieć dzieci. Szkoda, była taka piękna i miła. A ona ma już trójkę. I nie ma środków na wychowanie całej gromadki. Nie myślała, co powie Lucjan. Postanowiła,

że sama zdecyduje. Mieli przyjechać w południe. Spojrzała na zegar stojący na kredensie. To już. Dziecko nawet się nie obudziło, kiedy wzięła je w ramiona i wyniosła szybko na widok nadjeżdżającego powozu. Konie zarżały hamując, a niemowlę otworzyło oczy. Podala je bez słowa w wyciągnięte ręce i usłyszała: „Dziękuję”. Konie pociągnęły powóz dalej, do Łodzi, a ona weszła z powrotem do domu. O niczym nie myślała. Niczego nie czuła. Może trochę wzbierające piersi. Przyszło jej do głowy, że powinna ją nakarmić, ale tak się bała jej dotykać. Westchnęła głęboko.

Lucjan wrócił z pracy i przytulił ją mocno – w progu, jak zwykle. Z uśmiechem wręczył jej mały bukietek polnych kwiatów.

– To dla mojej dzielnej żony – powiedział, zdejmując marynarkę. A ona już brząkała talerzami, wystawiając wagę, nalewając do niej zupę.

– Jedz, proszę – uśmiechnęła się do niego.

– A jak tam maleństwo? Już wymyśliłaś imię dla naszej córeczki? – zapytał wesoło. Nie odpowiedziała. Zdziwiony jej milczeniem rozejrzał się w poszukiwaniu kołyski.
– Gdzie dziecko? – zapytał zdezorientowany.

– Jedz proszę, to wszystko ci opowiem – odpowiedziała cicho, siadając obok. – Trzy dni temu przyjechali tu z Łodzi, chcieli wziąć noworodka na wychowanie. Pani Elwira nie może mieć dzieci. Mała będzie miała dobre, bogate życie. Niczego jej nie zabraknie. I zgodziłam się. Dzisiaj ją zabrali – mówiła spokojnie, jak do dziecka, ale Lucjan zerwał się i w mgnieniu oka zrozumiała, że nie będzie tak jak sobie wymyśliła. Krzyknął:

– Jak to nie zabraknie?! To nasze dziecko! Dlaczego nic nie powiedziałaś? – i ruszył do niej z takim wyrazem twarzy, jakby chciał ją uderzyć. Przestraszyła się, ale tylko odchyliła się na krześle i patrzyła mu prosto w oczy. Lucjan nagle się opamiętał: – Wstań, kobieto, wstań – i wstała. – Jak wychowujemy trójkę, to wychowamy i czwórkę. Idź po dziecko i bez niego nie wracaj – zakończył i popchnął ją lekko w stronę drzwi. Patrzyła na niego zaskoczona. Nie takiej reakcji się spodziewała. Miał jej przytaknąć, pochwalić pomysł. A on całym ciałem kierował ją do wyjścia, zaganiając jak kurczaka. – Nie wracaj bez dziecka – powiedział spokojnie, ale wiedziała, że nie żartuje. Złapała chustę i wybiegła.

Z Brzezina do Łodzi było... 20 kilometrów. Szła szybko, układając w głowie dzisiejszy dzień. Myślała, że dobrze zrobiła. Stawiała krok za krokiem, a przebyte kilometry wypłukiwały z jej głowy cały misternie ułożony plan. Zostawała tylko ona, żaloszna, wyrodna matka, która porzuciła własne dziecko. A jak Lucjan ją znienawidzi? Tak go kochała. Chciała mu ulżyć. Co zrobi bez niego? Podniosła głowę i rozejrzała się, powoli zapadał wieczór. A co jak nie będą chcieli jej oddać dziecka? Przerazenie wślizgnęło się do jej wnętrza i zacisnęło stalową obręcz w brzuchu. Zrobiło jej się słabo. Zwolniła trochę i zaczęła głębiej oddychać, żeby odsunąć mdłości. Znowu poczuła nabrzmiałe piersi. „Mam dużo pokarmu” – pomyślała i przyspieszyła kroku. Kolejne kilometry osypywały kurzem jej suknię. Włosy wysunęły się z koka, ale ona szła coraz szybciej, a na koniec prawie biegła przerażona, że brama będzie zamknięta i nikt jej nie otworzy. Ale brama była otwarta, w oknach paliło się światło, mimo późnej pory. Osunęła się na schody, żeby uspokoić szalejące serce. Po chwili wstała, otrzepała suknię i poprawiła

włosy. Przetarła spoconą twarz czystą stroną chustki. Zastukała kołatką. Usłyszała szcęk otwieranych drzwi i na progu stanął sam właściciel.

– Co się stało? – zapytał zdziwiony na jej widok. Zaniemówiła. Stali tak, patrząc jedno na drugie, aż znowu poczuła piersi i jednocześnie usłyszała płacz dziecka.

– Ja... – zaczęła – mam dużo mleka, może ją nakarmię? – zapytała. Zobaczyła nadchodzącą panią z dzieckiem – jej dzieckiem. – Płacze pewnie z głodu – starała się mówić normalnym głosem. – Mam dużo pokarmu, może ją nakarmię, proszę pani – poprosiła grzecznie i pochyliła się w niemym ukłonie. Pani zastanawiała się przez chwilę. Pan stał ciągle obok, patrząc pytająco na żonę.

– Dobrze, chodź na górę do pokoju – odezwała się w końcu. Teofila czuła, że ma tylko jedną szansę.

– Nie, po co wchodzić, tu na dole ją nakarmię, w kuchni, dziękuję pani – i już, ciągnąc za sobą kurz przebytych kilometrów, przepchnęła się obok pana i wyciągnęła ręce po dziecko. I znowu przygięła się w ukłonie przed ubraną w błyszczącą, piękną suknię panią. Bała się, że gdy spojrzy jej w oczy, ta zorientuje się, że chce zabrać dziecko. Nagle pan kichnął. Pani podała jej płaczące rozdzierająco maleństwo, już przebrane w koronki i hafty.

– Tędy, moja droga. Może to się dobrze składa, bo mamka jeszcze nie przyszła, a mała ciągle płacze. – Tuląc dziecko w ramionach szła w obstawie do pustej o tej porze kuchni. Tak jak myślała, było tu wyjście na zewnątrz. Usiadła niedaleko drzwi na ławie i zaczęła rozpinać suknię. Popatrzyła na pana ze skrepowaniem.

– A, tak – domyślił się i wyszedł.

Kiedy zaczęła cichutko mówić do maleństwa – uspokoiło się nagle i patrzyło na nią szeroko otwartymi oczami. Przystawiła je do piersi i poczuła ulgę dziecka, które zacisnęło łapczywie usta i zaciągnęło pokarm z absolutną pewnością, że tego pragnie najbardziej.

– Dlaczego właściwie przyszłaś? – zapytała nagle pani Elwira. Tym razem popatrzyła jej prosto w oczy.

– Nie mogę zostawić dziecka, proszę pani. Mąż mi nie pozwolił. Zabronił mi bez niej wracać – odpowiedziała. – Zaraz sobie pójdziemy, tylko oddam ubranko – pogłaskała delikatne koronki. – Jest naprawdę pięknie ubrana – zakończyła. Mała jadła łapczywie i w końcu zasnęła. Pani siedziała w milczeniu.

– Szkoda, niczego by jej nie brakowało. Możesz zatrzymać ubranko – powiedziała i wyszła. Teofila przerażona, że zaraz wróci z mężem i mężczyzna wyrwie jej dziecko siłą.

Niemalże zerwała koronkową sukienkę, odłożyła na stół, a maleństwo owinęła ciasno chustką i tuląc do siebie odzyskany skarb, wybiegła w noc. Usłyszała ciche dźwięki fortepianu. Znała tę melodię. To była „Sonata księżycowa” Beethovena. Oddalała się szybko, czujna na odgłosy pogoni, przerażona ewentualnym pościgiem, ale oprócz muzyki niczego nie słyszała. Szła więc wytrwale naprzód. Jeszcze raz zatrzymała się, by nakarmić dziecko. Noc była gwiazdzista i cicha. Było ciepło jak na październik. Zeszła z drogi na pastwisko, położyła się z dzieckiem i zdrzemnęła.

Do domu dotarła o świcie. Drzwi były otwarte, kołyska przygotowana. Położyła w niej córeczkę. Czuli się tak, jakby urodziła ją po raz drugi. Teraz już świadoma własnego macierzyństwa. Miała w głowie imię: „Nazywam cię Irena, moja malutka Irena”. Odwróciła się, bo poczuła, że stoi za nią Lucjan.

– Nazywa się Irenka – powiedziała, jakby podjęli przerwana przed chwilą rozmowę.

MARIA GŁADYSZEWSKA

– urodzona w 1965 r. Z wykształcenia nauczycielka muzyki i oligofrenopedagog. Z zamiłowania obserwatorka przyrody, japońskich ogrodów i krajobrazów. Czasami po prostu musi pisać. Najczęściej „do szuflady”.



fot. Zofia Piłsiewicz